

Człowiek demolka

ANDRZEJ ŁOMIANOWSKI

Kiedyś na partyjnych konwentykłach wygłaszał długie i nudne przemówienia. Teraz ograniczył się do jednego krótkiego zdania, za to poderwał wszystkich. – To naprawienie wielkiej krzywdy historycznej – powiedział Gorbaczow o rosyjskiej aneksji ukraińskiego Krymu. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, który popiera agresję i aneksję – tego jeszcze nie było w historii Komitetu Noblowskiego. Ostatni przywódca ZSRR znów wpadł w kłopoty i znów z powodu Ukrainy.

Wtedy, jesienią 1991 roku, to właśnie Ukraina wbiła ostatni gwóźdź do trumny Związku Sowieckiego, ale też pogrzebała rozpaczliwe Gorbaczowowskie próby utrzymania imperium w zmienionej nieco formie. Przetrwaliłkowej – do lepszych czasów.

Dopóki nie rozległ się głos znad Dniepru, Kreml mógł mieć jeszcze nadzieję na utrzymanie bezwzględного prymatu na „jednej szóstej światowego lądu” – tak poetycko w radzieckich podręcznikach opisywano ZSRR. Kreml, a właściwie ta jego połowa, która należała do Gorbaczowa. W drugiej rozgościł się bowiem prezydent Rosji Borys Jelcyn i jego ludzie. Ale po kolei.

Czas mściwego Sybiraka

Wieczorem 21 sierpnia 1991 roku prezydent ZSRR i sekretarz generalny partii komunistycznej Michaił Gorbaczow wrócił z Krymu. Niby nic, sekretarze generalni (jak wcześniej carowie) lubili spędzać wakacje na półwyspie. Tyle że Gorbaczow stał się tam zakładnikiem puczystów, którzy zamknęli go w rządowej willi razem z rodziną. Ogłosili, że jest niezdrów, i przejęli władzę. W rezydencji w Forosie prezydent Związku Radzieckiego przesiedział dwa najważniejsze dni historii ZSRR i Rosji schyłku XX wieku, nie mogąc nawet oglądać ich w telewizji, bo zapobiegliwi zamachowcy odcięli mu sygnał telewizyjny.

Błazeński sierpniowy pucz, który stał się początkiem końca Związku Radzieckiego, do dziś budzi spory: po co go przeprowadzono i dlaczego zakończył się totalnym fiaskiem, skoro zamachowcy mieli wszystkie atuty w ręku? Logicznie nie da się tego wytłumaczyć, ale od kiedy to Rosja jest logiczna? Jedną z możliwych przyczyn fiaska dziennikarze zobaczyli już na pierwszej konferencji prasowej tzw. puczystów – fiołetowy z przepicia nos wiceprezydenta ZSRR Giennadija Janajewa (zastępca Gorbaczowa formalnie bowiem przejął po nim władzę): pucz prowadzono w oparach alkoholu (dokładniej – wódki Stolicznej i koniaku Jubilejnyj).

O innej przyczynie swego czasu wspominali koledzy obecnego prezydenta Rosji z „Firmy”. Dla nich pucz był to „straszny czas, gdy (radzieckie) służby specjalne starty się ze sobą”. Wśród puczystów był ówczesny szef KGB Władimir Kriuczukow, ale część jego armii na rozkaz nie wyszła z okopów, a jak już wyszła, to pobiegła do przeciwników. Wśród tych, którzy nie wykonywali w dni puczu rozkazów Kriuczukowa, był również podpułkownik z Leningradu Władimir Putin. Gdyby zamachowcom się udało, bez wątpienia stanąłby przed sądem.

Z chaosu w gabinetach i na moskiewskich ulicach zwycięsko wyszedł zwalisty Sybirak Borys Jelcyn, który zamknął się wraz ze zwolennikami w tzw. Białym Domu (obecnie to siedziba rosyjskiego rządu) i tam doczekał chwili, gdy puczyści sami zrezygnowali i pojechali na Krym wypuścić Gorbaczowa.

Mściwy Sybirak nie darował KGB i partii komunistycznej (której nomenklatura entuzjastycznie poparła zamach).

Dokładnie w chwili, gdy wieczorem 21 sierpnia Gorbaczow dojeżdżał do Białego Domu, rosyjski prezydent triumfalnie podpisywał dekret zakazujący działalności komunistom, niszcząc najważniejszą instytucję polityczną, na której opierał swą władzę prezydent ZSRR. Mimo to w swym pierwszym przemówieniu Gorbaczow powiedział: – Należy zreformować, zmienić partię komunistyczną.

- Dziadkowi odbiło, kogo wtedy interesowała partia komunistyczna? – wspominał mi tamte dni jeden ze znajomych moskiewskich dziennikarzy. Po ulicach stolicy szły radosne tłumy, zaczęto zwać pomniki wodzów – przede wszystkim Dzierżyńskiego, który stał naprzeciwko siedziby KGB na Łubiance.

Nowy lokator na Kremlu

Radziecki prezydent zaś zachowywał się tak, jakby nie rozumiał, co się wokół niego dzieje. Nigdy w życiu nie widział pewnie takiej erupcji społecznej energii. Jelcyn zapewne też, ale on już w ciągu dwóch dni zdążył awansować z nomenklaturowego rozrabiaki na ludowego przywódcę.

Mimo wszystkich późniejszych wpadek, błędów i głupstw Moskwa nigdy mu nie zapomniała, jak stojąc na czołgu, z zaciśniętą pięścią wzywał do oporu.

Gorbaczowowi zaś nawet nie przyszło do głowy, by wyjść do obrońców Białego Domu – ludzi, którzy dwa dni koczowali wokół budynku, by nie dopuścić tam czołgów wystanych przez ministra obrony. Tego Moskwa też nie zapomniała.

Gdy tylko wrócił na Kreml, nocą 21 sierpnia zaczął dymisjonować ludzi związanych z puczem. Ale gdy zaczął mianować na ich miejsce nowych, zaczęły się problemy.

Do siedziby radzieckich władz wprowadził się bowiem nowy lokator: Borys Jelcyn i jego ludzie. Rosjanie zajęli tzw. czternasty korpus, „radzieckim” zostawiono pierwszy – ten z kopułą, nad którym powiewa flaga (wtedy radziecka, dziś rosyjska). Nagle okazało się, że władza prezydenta ZSRR topnieje jak śnieg w wiosennym słońcu.

Na nowego ministra obrony (na miejsce puczysty Jazowa) radziecki prezydent mianował generała Michaiła Mojsiejewa. Ale wraz z zakwaterowaniem na Kremlu Jelcyn zażądał, by rządowe zmiany były z nim konsultowane. Po jednym dniu ministrowania generała wezwano na Kreml. W gabinecie Gorbaczowa siedzieli obaj prezydenci: radziecki i rosyjski. Gdy Mojsiejew wszedł, rozegrała się taka scena:

Jelcyn do Gorbaczowa: – Wyjaśnijcie mu, że nie jest już ministrem.

Gorbaczow do Mojsiejewa: – Nie jesteście już ministrem.

Mojsiejew salutuje i wychodzi.

W zakresie swoich „radzieckich” kompetencji Gorbaczow starał się – przynajmniej na początku – nie drażnić zwycięskiego Jelcyna. Ale siła żywiołu obudzonego w dni sierpniowego pucz wymywała je coraz bardziej. „Formalnie Związek jeszcze istnieje, ale radzieckiego rządu praktycznie nie ma – większość ministrów została zdymisjonowana” – wspominał nieżyjący już pierwszy premier rosyjskiego rządu Jegor Gajdar.

Obaj prezydenci uzgodnili w końcu, kto ma być radzieckim ministrem obrony. Tyle że nie wiadomo, czym miał dowodzić. W czasie obrony Białego Domu Jelcyn mianował bowiem ministra obrony Rosji Konstantina Kobięca, który teraz żądał, by radzieckie oddziały na terenie Rosji podporządkowały się właśnie jemu. „Jedna armia dostała teraz dwóch legalnych ministrów obrony: rosyjskiego i związkowego” – dziwił się szef ochrony Jelcyna, oficer KGB Aleksandr Korżakow.

A przecież minister obrony nie był jedynym, który dostał dublera. „Radzieckie” zderzyło się z „rosyjskim”, narastający od roku chaos wszedł w kulminacyjną fazę.

Zachód widzi „dobrego komunistę”

Na posiedzeniu (rosyjskiej) Rady Bezpieczeństwa zajmujemy się anulowaniem dekretu o stanie wyjątkowym w Czeczenii, bowiem nie można go wprowadzić w życie. Jelcyn podpisał taki dekret z inicjatywy swojego wiceprezydenta (Aleksandra) Ruckoja, który bardzo chciał osobiście poprowadzić operację i wydał wojskom rozkaz marszu (na Czeczenię). A radzieckie dowództwo: wojska zostają w koszarach. Minister spraw wewnętrznych (Wiktor) Barannikow miota się od generała do generała. Jakież oddziały idą, ale nie tam, gdzie trzeba; inne idą tam, gdzie trzeba, ale nie mają broni” – tak to opisał Gajdar.

Gorbaczow oddawał Jelcynowi coraz więcej kompetencji. Nie dysponował zresztą żadną siłą polityczną, która mogłaby go wesprzeć i zagrozić rosyjskiemu prezydentowi. Partia komunistyczna była zdelegalizowana, KGB podzielono na cztery osobne służby, wybieralne instytucje władzy opowiedziały się po stronie Jelcyna, o mianowane toczyła się walka dwóch przywódców. Społeczne poważanie dla Gorbaczowa zniknęło, i to już dawno. Rok wcześniej, tuż przed śmiercią, Andriej Sacharow (w czasach ZSRR antykomunistyczny opozycjonista) mówił mu: – Wasz osobisty autorytet i popularność spadły do zera! Ale to uporowi Gorbaczowa zawdzięcza Związek Radziecki to, że jego pogrzeb rozciągnął się na cztery miesiące.

Pozostawały bowiem dwa „ale”. Pierwszym był Zachód, wpatrujący się w przywódcę ZSRR jak zaczarowany. „Pełen nadziei, że pojawił się wreszcie dobry komunista, nadzieje te karmią się jak zawsze wiarą w to, że taki musi nadejść (...) Od śmierci Stalina żaden sowiecki przywódca nie był tak popularny za granicą jak Michaił Gorbaczow” – zauważył trzeźwo słynny rosyjski historyk Michaił Heller.

Gorbomania, która narodziła się w 1986 roku (o akuszerze tych narodzin, czyli KGB, ktoś w końcu napisze dzieło), przeżyła Związek Radziecki, ale w Niemczech – w nieco zmienionej formie – trwa do dziś. Mimo że w ZSRR grunt usuwał mu się spod nóg, Gorbaczow do końca kształtował opinie zachodnich polityków o tym, co się dzieje w jego kraju. To do niego dzwonił prezydent USA czy kanclerz Niemiec – nie do Jelcyna. Na ich poparcie „dobry komunista” zawsze mógł Uczyć. On i jego Związek.

Drugie „ale” to inne republiki radzieckie. Nikt w Moskwie nigdy się z nimi specjalnie nie liczył, chyba że nastawa! kryzys. A kryzys nastął i przypomniano sobie, że każda z nich ma prawo głosu. Gorbaczow bardzo dbał, by to był głos za nim.

„Gorbaczow miał przewagę nad Jelcynem nie na Kremlu, ale w swojej rezydencji Nowo Ogariewo. Tam zbierali się przywódcy innych republik związkowych.

Gorbaczow pił swój ulubiony koniak, a za stołem zachowywał się po carsku. (...) Dla uczestników tych spotkań Gorbaczow był mimo wszystko prezydentem ZSRR, jak przed puczem.

Traktowali spotkania z nim jak posiedzenia Biura Politycznego (partii komunistycznej) pod srogim nadzorem sekretarza generalnego. Duch partyjnego poszanowania rangi i subordynacji nadal przesycał atmosferę Ogariewa” – opisywał te spotkania Korżakow, dając świadectwo tego, jak bardzo z kolei oficerowie KGB nie rozumieli, co się wokół nich dzieje.

Widowiskowa bezsilność

Administracja Gorbaczowa szybko stworzyła projekt nowego zjednoczenia – Związku Suwerennych Republik (skrót dość charakterystyczny – ZSR, po prostu bez jednego R) – i zaczęło się namawianie liderów republik, by go podpisali.

W porównaniu z ZSRR mieliby więcej uprawnień, ale cóż to za alternatywa wobec pełnej

wolności. – A co to za prezydent bez niepodległego państwa. To jakiś generał-gubernator – zauważył ówczesny lider Ukrainy Leonid Krawczuk. Wszyscy przywódcy republik związkowych starali się wtedy zamienić swoje stanowiska sekretarzy generalnych partii komunistycznej czy przewodniczących miejscowych parlamentów na prezydentury.

Za plecami Gorbaczowa (i innych) przywódcy z Azji Środkowej cichutko omawiali ewentualność powołania związku turkmeńskiego jednoczącego ich państwa w obliczu nieuchronnego rozpadu ZSRR. „Procesy rozpadu zaczęły przybierać niekontrolowany charakter (...) Gorbaczow nie reprezentował już nikogo poza sobą, a władze centralne w czasie puczu widowiskowo zademonstrowały swoją bezsilność” – opisywał nastroje wśród wszystkich prezydentów Krawczuk.

Nikt nie miał ochoty na Gorbaczowowski ZSR, ale jednocześnie wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie można z dnia na dzień zerwać związków gospodarczych między republikami, bo to doprowadzi do ekonomicznej katastrofy. „Żadna republika nie miała na swoim terytorium zamkniętego cyklu produkcyjnego. Wszystko z powodu sławnej »zasady racjonalnego rozmieszczenia sił produkcyjnych« (obowiązującej w ZSRR)” – pisał Krawczuk. A to oznaczało, że nagła dezintegracja ZSRR zniszczy gospodarczo wszystkie jego części – również Rosję.

W tej sytuacji nagle okazało się, że druga co do wielkości republika ZSRR Ukraina otrzymała głos decydujący. Jeśli bowiem przejdzie na stronę Gorbaczowa, Jelcyn też się ugnie. Jeśli nie – wszyscy wyruszą w nieznaną przyszłość. Nikt nie chciał już otrzymywać dyrektyw z centrum, rzucona półgębkiem propozycja „konfederacji niepodległych państw” błyskawicznie zyskała większość. Jelcyn ją przyjął, uważając, że Rosja i tak będzie dominować nad pozostałymi.

Gorbaczow nic nie mówił, bo propozycję omawiano za jego plecami. Gdyby ją usłyszał, wściekłby się: konfederacja nie przewidywała dużego centrum ani nawet prezydenta. „Czasowa struktura ponadnarodowa”, „cywilizowana forma rozvodu” – tak nazywano tę propozycję. Nie było w niej miejsca na KC, Kreml czy Gorbaczowa.

Walizeczka u Jelcyna

Ale Krawczuk – od którego teraz zależało prawie wszystko – był naciskany przez silny wtedy demokratyczny i narodowy Ruch, na którego czele stał były dysydent i łagiernik Wiaczesław Czornowił. A jego członkowie bez przerwy organizowali demonstracje pod hasłem „Het’ radianskij dohowir!” („Precz z umową związkową!”), czyli żadnych umów.

Unikając bezpośredniej konfrontacji z demokratami, Krawczuk zdecydował się na mistrzowskie posunięcie: postanowił ogłosić referendum w sprawie niepodległości Ukrainy wraz z wyborami prezydenta. Chciał dostać dwie rzeczy naraz: nie być już generałem-gubernatorem, lecz prezydentem, i mieć wreszcie spokój z neo-Związkiem.

– Nie można dopuścić, by niezależność Ukrainy została wykorzystana przez siły separatystyczne do całkowitego oddzielenia się. (...) Na Ukrainie są aktywne siły, które chcą sprowokować pełne oderwanie się od Związku. A Krawczuk wpadł w ich mocne objęcia – tak Gorbaczow tłumaczył sytuację niemieckiemu kanclerzowi Helmutowi Kohlowi.

Niezależnie jednak od woli pierwszego prezydenta ZSRR i przywódców Zachodu i grudnia 1991 roku na Ukrainie odbyło się referendum w sprawie niepodległości. – To nie wy będziecie kroczyć (do komisji wyborczych). To będzie kroczyć historia! – wołała przed głosowaniem ukraińska pisarka Lina Kostenko. Frekwencja wyniosła 84,1 proc. Spośród głosujących 92,3 proc. powiedziało „tak” niepodległemu państwu. Zwolennicy niezależności wygrali nawet na Krymie i w bazie radzieckiej Floty Czarnomorskiej – Sewastopolu.

Ukraina była pierwszą republiką ZSRR, która jasno i wyraźnie wypowiedziała się na temat swojej niepodległości. W radzieckim prawie istniał co prawda zapis o tym, że republiki mogą opuścić Związek, ale nikt nie wiedział jak. Niezależnie od prawnych formuł referendum ma to do siebie, że jego wyników praktycznie nie da się podważyć (tak jak w sprawie Brexitu), Choć więc Gorbaczow planował w grudniu 1991 roku podpisanie nowej umowy tworzącej ZSR, to po ukraińskim referendum wszystko się rozleciało.

Bezpośrednim skutkiem głosowania było podpisanie tydzień później przez Jelcyna, Krawczuka i przywódcę Białorusi Stanisława Szuszkiewicza porozumień białowieskich, które ostatecznie zakończyły żywot Związku Radzieckiego.

– Co wyście narobili tam, w tej puszczy? Świat zwariował, rozumiecie! Musicie tutaj natychmiast przyjechać! – wołał przez telefon prezydent Gorbaczow do prezydenta Krawczuka. – Z jakiego powodu? – drwiąco odpowiadał lider Ukrainy. – Musimy porozmawiać! Ale nie było już o czym rozmawiać. Z hukiem został wbity gwóźdź w trumnę ZSRR i polityczną – Gorbaczowa.

Życie po życiu

Ostatnim problemem, jaki stał przed prezydentem znikającego Związku, była jego przyszłość na politycznej emeryturze. Ostatnie, trzygodzinne, spotkanie z Jelcynem było temu właśnie poświęcone. Gorbaczow dostał dla swojej fundacji (którą zaczął tworzyć zaraz po ukraińskim referendum) zabudowania dawnej Wyższej Szkoły Partyjnej w Moskwie, gdzie w czasach ZSRR szkolono aktywistów nielegalnych partii komunistycznych. Jelcyn bez protestu oddał swojemu antagoniście 5000 mkw. sal wypadowych, sportowych, auli, hoteli i akademików.

Z samego wynajmu fundacja mogłaby żyć długo i szczęśliwie. Ale Gorbaczow bardzo szybko, bo już w 1992 roku, zaczął krytykować Jelcyna. Tym razem jednak jego antagonista miał przewagę i odebrał mu większość przyznanej Szkoły Partyjnej.

Do więcej niż skromnych biur Gorbaczowa na północy Moskwy trafiłem w 1998 roku. Gdy trzyosobowa ekipa telewizyjna weszła między dwa biurka w jego sekretariacie, nie można się już było poruszać z powodu ciasnoty.

Za jednym z biurek siedział niegdyś wszechmocny zastępca Wydziału Międzynarodowego KC Gieorgij Szachnazarow (ojciec słynnego reżysera Karena Szachnazarowa). Pozostanie tajemnicą, dlaczego ten utalentowany człowiek postanowił zostać z Gorbaczowem, wciśnięty między drugie biurko i okno – jak generał Henri Bertrand z Napoleonem na Świętej Helenie.

Ale gdy wpuszczono nas do gabinetu Gorbaczowa, zupełnie nie kojarzył się on z napoleońskim pawilonem w Longwood. Wielkością przypominał gabinet Dyktatora z filmu Charliego Chaplina. Porównanie z klitką jego sekretarzy było aż bolesne. Mylił się więc oficer KGB Korżakow – partyjna pycha nie zniknęła.

Były prezydent skarżył się, że jest „wszędzie blokowany, rodzina znajduje się pod kołpakiem FSB, stale podsłuchiwany jest telefon”. Ale nikogo nie wzruszały jego skargi, Gorbaczow bowiem stał się symbolem rozpadu ZSRR, z którym wiązano wszelkie nieszczęścia, jakie nastąpiły później: wojny, migracje, krach bankowy.

O dziwo, początkowo to właśnie Gorbaczowa obarczano za to winą, a nie sygnatariuszy porozumienia z Białowieżą. – W rzeczy samej rozwalił kraj – mówił o nim jeszcze w 2014 roku rzecznik Putin Dmitrij Piesków. – W Rosji nigdy nie będzie nic podobnego do pieriestrojki – zapewniał.

Jednak wraz z pogarszaniem się sytuacji w Rosji rządzonej przez Jelcyna Gorbaczow nabierał nadziei na powrót. „Zacząłem się zastanawiać: i co? Twardo postanowiłem: będę

kandydował” – mówił w programie telewizyjnym w 1994 roku, dwa lata przed wyborami prezydenckimi. Wystartował w nich ku swemu nieszczęściu i w 170-milionowym kraju otrzymał 386 tys. głosów, czyli 0,5 proc., i zajął siódme miejsce.

Krach polityczny byłby widowiskowy i ostateczny, gdyby ktokolwiek zwrócił na niego uwagę. Ale tamte wybory zostały zdominowane przez rywalizację Jelcyna z liderem komunistów Giennadijem Ziuganowem, który o mało nie został prezydentem Rosji.

Wyczyn laureata

Nie wiadomo, co bardziej ubodło dumę Gorbaczowa: czy wynik wyborczy, czy kompletny brak zainteresowania nim ze strony mediów i społeczeństwa. Okazało się, że pięć lat po ustąpieniu na rosyjskiej arenie politycznej był już nikim. W przeciwieństwie do Zachodu, gdzie cały czas był fetowany i przyjmowany jak wielki polityk. Tyle że zachodnia życzliwość też wyszła mu w Rosji bokiem. Zbierając pieniądze na swoją fundację, wystąpił w reklamie pizzy, co spotkało się w Moskwie z bardziej niż ironicznymi komentarzami.

Pozostał jednak pociąg do politycznego hazardu. Dopóki władzę sprawował Jelcyn, Gorbaczow zachowywał się bardzo ostrożnie, pomny doświadczeń z 1992 roku. Nowy prezydent Władimir Putin ujął go jednak od razu, zapraszając na spotkania. Po drugiej rozmowie były przywódca ZSRR stwierdził: – Nasze poglądy są całkowicie zgodne.

I zaczął dawać temu wyraz publicznie, krytykując np. amerykańską inwazję na Irak czy popierając rosyjską inwazję na Gruzję.

Do 2011 roku nie wychylił się nawet o krok poza obowiązującą linię polityczną rosyjskiego MSZ. Dopiero narastający kryzys związany ze zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi i prezydenckimi w 2011 i 2012 roku sprawił, że Gorbaczow zaczął krytykować Putina: za wszechogarniającą korupcję, niszczenie demokracji i mianowanie „tłumu czekistów” na stanowiska państwowe. Zimą 2011 roku wzywał prezydenta, by zrezygnował ze startu w wyborach. Putin, rzecz jasna, nic sobie z tego nie robił, w wyborach wystartował i jest teraz prezydentem Rosji.

Potem jednak Gorbaczow znów był w zgodzie z oficjalną linią Kremla. Gdy nastąpiła rosyjska agresja na Krym, w pierwszej chwili stwierdził wprawdzie, „że gdyby nadal istniał ZSRR, nie byłoby problemu Krymu”, ale już pod koniec marca 2014 roku o aneksji półwyspu powiedział inaczej: – To naprawienie wielkiej krzywdy historycznej.

Jego poparcie dla agresywnej polityki rosyjskiej doprowadziło do tego, że ukraińska służba bezpieczeństwa zakazała mu na pięć lat wjazdu na teren kraju. Duży wyczyn jak na laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Znów potknął się o Ukrainę, jak w 1991 roku.

Ponad 20 lat temu nieżyjący już przywódca ukraińskiej opozycji Wiaczesław Czomowit powiedział mi: – Historycznie tak się składa, że tam, gdzie zaczyna się Ukraina, kończą się rosyjscy demokraci.

Gorbi nie jest wyjątkiem. Założywszy, rzecz jasna, że jest demokratą.

„Rzeczpospolita”, 20-21 sierpnia 2016